

Joanna Chmielewska



PORWANIE

JOANNA
CHMIELEWSKA

PORWANIE



Redaktor: *Jan Koźbiel*
Korektor: *Magdalena Kostkiewicz*
Projekt okładki: *Sophie Kubn*
Zdjęcie autorki: *Witold Gawliński*

Copyright © Wydawnictwo Klin 2009

ISBN 978-83-62136-00-1

Wydanie I
Wydawnictwo Klin
Warszawa, ul. Bruzdowa 117 H
tel.: 0-22 555 55 55, +48 501 686 786
fax: 0-22 555 55 55
e-mail: m.g.klin@op.pl
www

Druk i oprawa: Arspol Bydgoszcz

Wydrukowano na Amber Volume 15 70g/m²



Gdybym siedziała na swoim miejscu i nie trzymała się zgubnych nałogów, niczego, zajęta brydżem, w ogóle bym nie zauważyła. Korzystając z chwili, kiedy Ania rozgrywała, ja zaś leżałam na stole pewna wygrania robra, oddaliłam się na moment, żeby wziąć papierosy. Znalazłszy się w samym środku domu, doznałam wrażenia, że coś mi w ogrodzie mignęło. Zatrzymałam się, spojrzęłam uważniej.

I osłupiałam. Za tarasowymi drzwiami pojawiły się czarne postacie w workach na łbach, z dziurami na oczy, z bronią palną w rączkach, skierowaną najwyraźniej ku wnętrzu mojego domu. Napad, niech ja pierzem porosnę! Zwariowali, mam szyby antywłamaniowe... Ale popękają, cholera, jeszcze mi teraz armii szklarzy brakuje...

Jakieś takie wydało mi się to dosyć szokujące.

– Hej, bandziory się tu wdzierają – powiadomiłam dwa siedzące przy różnych stołach towarzystwa głosem, zdaje się, zdumionym, z domieszką lekkiego niesmaku.
– Czy drzwi są zamknięte?

– Które? – spytała cierpko Małgosia, moja siostrzenica, siedząca przy stole jadalnym.

Znajdowałam się dokładnie pośrodku, słyszeli i widzieli mnie wszyscy mniej więcej jednakowo, drzwi udzieliły odpowiedzi samodzielnie.

– O... to i dobrze, że nie, nie zaczną strzelać po oknach...

– Jakie bandziory? – zdążyła się jeszcze zdziwić Klara.

– Ostatnie atu poproszę – rzekła grzecznie Ania, popukując palcem w stół.

Klara odpowiedź uzyskała wizualnie. Do salonu wpadły dwa czarne, zamaskowane potwory, trzeci

zamajaczył mi w przedpokoju przy drzwiach wejściowych, za oknem mignęły jeszcze ze dwie sztuki, a może jedna, ale bardzo ruchliwa. Rany boskie, otoczyli cały dom, kogoś chyba pogięło, na plaster im takie oblężenie?! Co ja, u diabła, mam aż tak cennego...?!!!

Pomyślałam o ogólnym pilocie alarmowym, który leżał przy moim tapczanie, spojrzałam na Małgosię. Chyba również o nim pomyślała.

– Do sypialni już też jeden poleciał – powiedziała beznadziejnie i nie ruszyła się z krzesła.

– Mnie się to chyba śni – oznajmiła Martusia, wpatrzona w scenę szeroko otwartymi oczami.

– Na plecach mają napisane, że policja – zauważył Witek beznamiętnie, obejrzawszy się za tym na schodach. – No i popatrz, wygrały!

Zgrupowani byliśmy wszyscy wokół dwóch stołów, razem siedem osób, z których cztery grały w brydża w holu, a trzy załatwiały różne sprawy przy stole jadalnym. Zastanowiłam się, co powinnam zrobić, bez względu na rozwój sytuacji nie miałam zamiaru tkwić na stojąco pośrodku domu jak zmurszały słup, stanowczo wolałam gdzieś usiąść. Uczyniłam kilka kroków i usiadłam przy jadalnym stole, odruchowo wybierając swoje stałe miejsce, gdzie akurat leżały moje papierosy. Po które przecież szłam.

Zamaskowańcy już się wdarli wszędzie.

– Policja, nie ruszać się! – zaryczał któryś groźnie i chrapliwie.

No i na plaster mu głupi i spóźniony okrzyk, skoro ja już siedziałam, a nikt poza tym nawet nie drgnął? A co by było, gdyby, na przykład, ktoś kichnął? Albo zemdlał...?

Nikt nie kichał i nie mdłał, krótko to trwało, ledwo chwilę, do salonu energicznie wkroczyło jakichś dwóch normalnych, w odzieży powszechnie używanej, z twarzami bez zasłon, bez dzikich błysków w oku i nawet dość przystojnych. Prawie równocześnie pojawiło się obok nich dwóch czarnych, jeden z głębi domu, drugi zszedł ze schodów.

– Pusto – zameldował jeden.

– Czysto – poparł go drugi.

Wielkie mi odkrycie. A czego się spodziewali? Karaluchów?

Panowie w garniturach identycznym gestem błysnęli nagle tym czymś, co na ogół uważa się za odznaki policyjne, i pogład ogólny poparli słowem.

– Policja – rzekł ostro jeden, potwierdzając rykliwy komunikat. – Proszę, żeby wszyscy...

Więcej nie zdążył. W Klarę wstąpiło nagle złe, które dyplomatycznie drzemało w jej charakterze i ujawniało się rzadko, a za to porządnie, z tym że na ogół w chwilach nieoczekiwanych. Nie wstając z krzesła i nie bacząc na warkliwy rozkaz, z gwałtownym szurnięciem odsunęła się od stołu.

– Zaraz! Tak machać czymkolwiek każdy potrafi. Jeżeli panowie się nie podszywają, proszę pokazać legitymacje w sposób wyraźny i przyzwoity, żądam tego! Chcę je móc odczytać i mam do tego prawo!

Niemal wprawiła nas w podziw. Tamci przy stole brydżowym zaniedbali karty i zainteresowali się wreszcie sytuacją. Sekunda wahania panów dała się zauważyć, ale obaj spełnili życzenie rozgniewanej magnatki. Wyjęli dokumenty ponownie, podetknęli jej pod nos, pozwolili odpracować lekturę. Kiwnęła głową.

– Zgadza się – stwierdziła z godnością i zło zniknęło w kącie równie nagle, jak z niego wyskoczyło.

Wszystko razem zaczęło mnie rzetelnie ciekawić. Jednak nie napad, tylko wręcz przeciwnie, ludzka rzecz, ale dlaczego wkraczają z taką paradą?

– Proszę, żeby wszyscy zgromadzili się w jednym miejscu – zażądał ten, który odezwał się pierwszy. – Proszę przejść tutaj, do tego jednego stołu.

Gdybym miała w domu materiały wybuchowe, kradzione diamenty, wytwórnice fałszywych banknotów, magazyn narkotyków albo zgoła parę trupów w nieświeżym stanie, zapomniałabym o tym, tak głęboko ogarnęło mnie namiętne pragnienie wyjaśnienia dziwowiska. Na ile znałam swoich gości, a znałam ich całkiem nieźle, nikt z nich nie zasługiwał na tak potężne zaszczyty. Szczególnie Ania...

– Chodźcie, chodźcie – zachęciłam gorliwie, wiedzona niecierpliwością.

Przeszli. Usiedli. Ania pierwsza, a Paweł i Witek za nią.

Mój stół, mimo iż dość wąski, w stanie złożonym wystarczał w zupełności na sześć osób. Akurat został rozłożony i rozciągnięty na całą długość, bo tuż przedtem porozkładane na nim były rozmaite papiery, przeważnie służbowe, przeglądane, podpisywane i porządkowane, teraz już pochowane w teczkach. Rozciągnięty, mieścił wokół siebie dziesięć osób swobodnie, a dwanaście w lekkiej ciasnocie, siedem natomiast mogło tarzać się w luksusie. Tyle że musiał stać nieco skosem, bo inaczej brakowało możliwości przechodzenia dookoła, z czego wynikło, że siedziałam niejako w kącie.

Obok mnie, po zewnętrznej, siedziała Małgosia, za nią Klara, dalej Martusia, potem Witek, Paweł i Ania.

Przenosiny poleciały szybko, łatwo i przyjemnie, najsurowsza władza nie mogła mieć zastrzeżeń.

– Gdzie jest Joanna Chmielewska? – spytał twardo i zimno ten, który już zaczął pogawędkę.

– Tu – przyznałam się natychmiast, zainteresowana jeszcze bardziej, o ile to w ogóle było możliwe.

– Gdzie?

– Przecież patrzy pan na mnie. Jestem niewidzialna? Tu siedzę. To ja.

– Bzdura – rzekł złym głosem ten drugi.

Teraz, zdaje się, ogólne zainteresowanie wręcz eksplodowało. Pierwszy gliniarz obejrzał się na czarnych zamazańców, wzrokiem zapewne, bo bez słów, zadał im jakieś pytanie, pokręcili głowami. Miał wątpliwości, czy nie ma tam gdzieś drugiej mnie...?

– Ma pani może jakiś dowód tożsamości? Z fotografią, jeśli łaska.

Ponownie wzruszyłam ramionami, rozejrzałam się za torebką i zamarłam.

Nie miałam żadnego dowodu tożsamości. Uświadomiłam sobie nagle, że wszystkie, ale to absolutnie wszystkie dokumenty świadczą, że nazywam się zupełnie inaczej. Wszędzie wraz ze zdjęciem widnieje moje prawdziwe nazwisko, a nie pseudonim literacki. Nie dość na tym, opiewają na nie wszelkie umowy, korespondencja bankowa, rachunki, nawet cholerne podatki płacę jako ja, a nie jako Chmielewska, co jest już kompletnym idiotyzmem, bo jako ja nic nie zarabiam. Potworne. Jak ja im mam udowodnić...?

A właściwie dlaczego mam im cokolwiek udowodniać? Istnieje jakiś przymus bycia Joanną Chmielewską? Nosem mi już ta baba wyłazi!

– Cicho bądźcie! – rozzłościłam się znieca, chociaż nikt nie odzywał się ani słowem. – O co tu chodzi, proszę panów? A jeśli nie jestem Joanną Chmielewską, to co? To karalne?

– Wprowadzanie organów ścigania w błąd jest karalne, owszem – powiadomił mnie zimno ten pierwszy. – Ale nie marnujmy czasu. Wiemy, że w tym domu znajduje się Joanna Chmielewska. Gdzie została ukryta?

– To się w głowie maci – powiedział nagle Witek. – Nie jadę sobą!

Odwrócił się i otworzył podręczną lodówkę, którą miał za plecami.

Efekt był piorunujący. Obaj cywilni panowie miotnęli się jakoś dziwnie, w ich dłoniach pojawiły się nagle spluwy, lufy czarnych postaci podskoczyły w górę, zgodny ruch ku lodówce sprawił wrażenie, jakby ruszył cały dom. Drogę do celu przegradzał jednakże stół oraz siedzące przy nim Martusia i Klara. Małgosia, siedząca bliżej mnie, nie przegradzała, za to największą przeszkodę stanowił Witek w otwartych drzwiczkach urządzenia. On jeden, zaglądając do wnętrza, niczego nie zauważył, wyjął małąkę whisky, zatrzasnął drzwiczki, sięgnął do bufetu po szklankę, wszystko akurat miał pod ręką, i odkręcił kapselek. Dopiero nalewając, podniósł głowę i rozejrzał się po zamarłym zgromadzeniu.

– Co się stało? – spytał podejrzliwie. – Nie jeżdżę już dzisiaj, mogę sobie chyba pozwolić?

Martusia gwałtownie złapała dech.

– Oni myśleli, że ona tam siedzi – powiedziała szybko. – Możesz sięgnąć po piwo dla mnie?

Witek ponownie otworzył lodówkę i wyciągnął puszkę piwa.

Atmosferze jakby nieco ulżyło, teraz wszyscy zaczęli mówić równocześnie, z czego wynikło coś w rodzaju sceny zbiorowej w kulminacyjnym momencie opery. Co prawda nikt nie śpiewał, ale tak samo niczego nie dawało się zrozumieć. Przebiła się wreszcie przez tę nawalnicę Małgosia, która miała pewną wprawę, bo przez kilka lat zmuszona była porozumiewać się z osobą prawie całkowicie głuchą.

– Dwóch świadków! – darła się konsekwentnie, walcząc pięścią w stół. – Dwóch świadków! Dwóch świadków! Dwóch świadków!

– Co dwóch świadków...?

– Dwóch świadków potrzeba dla stwierdzenia tożsamości!

– Dokumenty wszystkich poproszę! – zażądał wściekle i przenikliwie pierwszy gliniarz. – Natychmiast proszę pokazać dokumenty!

– Szczególnie ja mógłbym być Joanną Chmielewską – zauważył kąśliwie Witek, grzebiąc w kieszeni.

Spodobało mi się to wszystko nadzwyczajnie i z wielką uciechą czekałam, aż przyjdzie kolej na Anię. Na razie ten drugi, bardziej milczący, przeglądał małe kartoniki, mamrocząc pod nosem, złym wzrokiem spojrzawszy na mnie, poczułam się zdopingowana. Dostrzegłam torebkę, wyciągnęłam ją z kąta, znalazłam dowód, podałam mu. Zebrał wszystko do kupy i oddalił się do pracowni, zapewne w celu podyktowania danych odpowiedniej komórce, sprawdzającej na poczekaniu, notowani jesteśmy czy nie. Rzecz jasna, w okropnej tajemnicy przed podejrzanymi.

– Czy oni nam to oddadzą? – zaniepokoiła się Martsusia, spoglądając w stronę pracowni. – Ja muszę wracać do Krakowa jutro rano!

– Bez dowodu stąd nie wyjdę! – oznajmiła stanowczo Klara. – On mi jest potrzebny, ja pracuję!

– Wszyscy pracują – przypomniał Witek i sięgnął do lodówki po następną małąpkę. – Do kuchni można wejść czy zaczną do mnie strzelać? Jak myślicie? Tam jest lód w zamrażalniku, wzięłbym trochę.

– Ja wiedziałem, że u ciebie jest zazwyczaj rozrywko-wo, ale nie sądziłem, że aż tak – zauważył równocześnie z wielkim uznaniem Paweł.

– Po lód pan może – zezwolił Witkowi gliniarz.

Zważywszy, iż cały czas usiłowałam sobie przypomnieć jakieś przestępstwo, które być może bezwiednie popełniałam, i nie znalazłam w życiorysie żadnego, a te, które znalazłam, od wieków uległy przedawnieniu, przyglądałam się temu wszystkiemu bez najmniejszego niepokoju, za to z rosnącym zaciekawieniem. Powoli zaczynałam wierzyć w wypisane na ich plecach wielkie słowo POLICJA, ale wciąż miałam resztkę wątpliwości. Każdy może sobie umieścić na plecach dowolny napis, jako kamuflaż, chyba że akurat POLICJA, w razie czego, podwyższa wymiar kary, lepsze zatem byłoby, na przykład, EKOLOGIA. Albo RĘCE PRECZ! i już wszystko jedno od czego...

Wrócił z pracowni ten małomówny z naszymi dowodami w ręku, położył je na stole i pokręcił głową. Rozmowniejszy zdążył westchnąć, najwidoczniej fakt, że nikt nie był sądownie karany, bardzo go rozczarował, bardziej milcząco kiwnął na niego, przez krótką chwilę szeptali do siebie pod drzwiami do kotłowni i mimo niewątpliwej wprawy w ukrywanie uczuć nie zdołali ich ukryć w pełni. Oczy im same pobiegły ku Ani.

– Jednakże – zwrócił się do niej niepewnie rozmowniejszy – ze względów formalnych... Pani rozumie...

Ania najwyraźniej w świecie bawiła się świetnie, ale łagodną powagą zachowała w pełnym zakresie.

– Rozumiem. Proszę kontynuować. Byłoby wskazane wyjaśnić meritum sprawy. Moja obecność nie ma znaczenia, znajduję się tu całkowicie prywatnie.

Obaj złapali dech, starając się uczynić to nieznacznie, rozmowniejszy sprężył się w sobie.

– Już wyjaśniam – rzekł sucho. – Otóż właśnie pisarka Joanna Chmielewska...

W tym momencie obok niego przepchnął się zmierzający ku swojemu miejscu Witek z kupką lodu na kocim styropianowym talerzyku. Zdążyło mi błysnąć, że nie mógł wziąć z szafki normalnej miseczki, bo zapewne nie puścili go dalej niż do zamrażalnika, ale nawet nie zdołałam ubrać myśli w słowa, bo gliniarz kończył zdanie:

– ...została porwana.

Otumaniał wszystkich. Witkowi ręka drgnęła i dwa kawałki lodu ześlizgnęły się z talerzyka dokładnie siedzącej przed nim Martusi za gors, nie miała wielkiego dekoltu, ale trafiły bezbłędnie. Wydała z siebie straszny krzyk, radykalnie przerywając ową zapadłą z nagłą okropną ciszę.

Straszliwe zamieszanie wybuchło własnym rozpędem. Witek zgarniał z bufetu kawałki lodu, które Martusia, zrywając się z krzesła, wytrąciła mu z ręki razem z talerzykiem, Klara w wybuchach gniewu zaprzeczała prawdziwości kretyńskiej informacji o mnie, Małgosia ostrzegała gwałtownie przed poślizgnięciem się na przeoczonej na podłodze poduszeczce lodu, bo Martusia wykonywała płas w miejscu, starając się wytrząsnąć z siebie zimne draństwo dołem, Paweł usiłował się zerwać z wielkim pragnieniem kojenia jej uczuć, ale nie

mógł wydostać się zza stołu, czarnym przedstawicielom władzy wykonawczej lufy jakoś dziwnie podskakiwały w rękach. Akcja oficjalna uległa niejako lekkiemu przy-
stopowaniu.

Siedziałam ciągle na swoim miejscu, nie próbując się ruszyć, głównie dlatego, że stojący skosem stół, na którego drugim końcu szalała Martusia z lodem i Witkiem, przesunął się w moim kierunku i całkiem niezle uwięził mnie w rogu ozdobnych półek kredensowych. Gdyby nie oparcie krzesła, środkowa, wystająca półeczka zaczęłaby mi się wbijać w plecy.

– Jedno, czego na pewno nie muszą, to zakuwać mnie teraz w kajdany, bo i tak się stąd nie wydostanę – wymamrotałam smętnie do siebie, ale gliniarz usłyszał. Stał najbliżej i zmobilizował już całą służbową równowagę.

– Kajdany może nie wejdą w rachubę, ale bez wyjaśnienia sprawy ja z pewnością stąd nie wyjdę – oznajmił zimno. – Joanna Chmielewska musi się tu znajdować.

Ocknęłam się nagle.

– Zaraz. Powiedział pan, o ile się nie przesłyszałam, że Joanna Chmielewska została porwana. Chmielewskich w tym kraju jak mrówek, niewiele mniej niż Wiśniewskich...

– Joanna Chmielewska, pisarka. Taka jest, zdaje się, jedna.

– Możliwe. Jeśli okaże się, że istnieje jeszcze jakaś druga, media oszaleją z radości. Co do obecności w tym domu jednej Joanny Chmielewskiej, pisarki, może się pan pozbyć wszelkich wątpliwości. Gdzie się pan nie obróci, na nią się pan nadzieje, tylko tak się składa, że ta cała Chmielewska to akurat ja i nic kompletnie o tym nie wiem, żeby mnie kto porywał. Piąty raz mó-

wię, siedzę tu, widać mnie, mam nadzieję, i jeśli jestem porwana, to chyba tylko na drobne kawałki, ale o tym też nic nie wiem. Mnie się wydaje, że jestem w całości. Na razie. Bo może mnie przetrzną na połowę, jeśli będą dalej popychać ten stół.

Coś uczyniło na nim wrażenie, albo moje exposé, albo ruchomy stół. Ania, też nieco zagrożona, delikatnie usiłowała mebel przytrzymać, pan śledczy wspomógł nas w odepchnięciu go nieco ku Martusi, która wreszcie pozbyła się lodu z okolic żołądka i zakończyła dzikie harce. Klara na nowo spuściła ze smyczy charakter, co wyglądało trochę tak, jakby pozazdrościła mi głównej roli w przedstawieniu i postanowiła sama zająć pierwsze miejsce.

– Jestem tłumaczem, redaktorem i wydawcą. I agentem – oznajmiła z lodowatym naciskiem. – I każdy autor mnie interesuje. Co to wszystko ma znaczyć? W jakim sensie została porwana? Przez kogo? To jej dom, u niej jesteśmy, jeśli będzie chciała, wyrzuci nas za drzwi, jak to porwanie należy rozumieć?

Niepojęta pomyłka nadal bardzo mi się podobała i wcale nie chciałam jej tak szybko prostować, ale nie zdążyłam się odezwać, bo gliniarz wykrzesał z siebie energię.

– Jeśli pani to rzeczywiście pani, w co powoli zaczynam wierzyć... Chwileczkę – zwrócił się do Ani. – Pani sędzia też to zaświadcza?

– Owszem – odparła Ania grzecznie, jedną ręką wspierając się o półeczkę kredensu, a drugą trzymając stół. – Gotowa jestem z całą odpowiedzialnością zaświadczyć, że tu siedzi pisarka, posługująca się pseudonimem Joanna Chmielewska. Znam ją osobiście.

– No tak... To jednak pani...

Zniecierpliwił mnie wreszcie, chociaż może bardziej zniecierpliwił mnie ruchomy mebel.

– I zupełnie nie wiem, dlaczego tak to panów martwi. Naprawdę mieliście nadzieję, że ktoś mnie porwał i wreszcie będzie ze mną spokój?

– Odwrotnie, że cię znajdą i dostaną awans – zapewniła zgryźliwie Małgosia i sięgnęła po papierosy.

– No to już przecież znaleźli – zauważył Witek. – Nagrodę mają jak w banku, dziesięć procent okupu...

– A co, myślisz, że porywacze zażądali okupu?

– A na jaką cholereę byś im była inaczej?

– No, nie dla ozdoby, to pewne... Psnij trochę ten stół... Ciekawe, ile chcieli?

– No właśnie, ile? – nacisnęła Klara.

– Co wy, żaden szmal, chcieli ją zmusić do występów w telewizji...!

Pomysł chwycił. Teraz już wszyscy mieli coś do powiedzenia, glinami nikt się nie przejmował. Przez rozrywkowe supozycje twardo i surowo przedarła się Klara, uparcie trwająca przy swoim.

– Ja chcę wiedzieć na pewno, czego oni chcieli! Dla mnie to ważne zawodowo!

– Bo co? Cenę autora chcesz znać...?

– No ile...? – zaciekawiło się wreszcie kilka osób razem, przy czym pytanie wyrwało się nawet Ani.

Przez nią zapewne pan śledczy się złamał. Cały dowcip polegał na tym, że była nie tylko prawnikiem, ale także przez wiele lat sędzią Sądu Najwyższego i dopiero całkiem niedawno przeszła na emeryturę. Sąd Najwyższy to nie jest instytucja, którą władza wykonawcza mogłaby lekceważyć.

- Pieniędzy. Pół miliona.
- Czego? Złotych polskich?
- Euro.
- Zwariowali.

– A jak nie, to co jej zrobią? – zainteresował się Witek, któremu kolejne małpki zdecydowanie poprawiały samopoczucie. Paweł patrzył na niego z lekką zawiścią, bo też był samochodem, a w dodatku zobowiązał się służyć za kierowcę Ani, która mieszkała po drodze do jego domu.

- Odetną po kolei uszy, nos, palce...

Nie dotarło do mnie dokładnie, wzgardziłam groźbą.

- Nie płacę. Niech odcinają.
- W końcu panią zabiją.
- Niech zabijają. Mnie to nie szkodzi.

– Ty już do reszty zwariowałaś! – zaprotestowała z oburzeniem Małgosia. – Gdzie jest wino? Przed chwilą tu było... Odsuńcie, do cholery, ten stół! To w ogóle wygłup denny, kretyński dowcip jakichś gówniarzy. I policja w coś podobnego uwierzyła?!

Udało mi się sięgnąć za plecy i wyciągnąć butelkę.

- Paweł, otwórz!

– W tym kraju każdy wygłup jest możliwy – pouczył nas Witek, grzechocząc lodem w szklance. – Ja bym nawet podejrzewał, że ci tutaj to wcale nie policja, tylko mafia, gdyby nie przyjechali takim tłumem i w biały dzień. Bandziory załatwiają te rzeczy kameralniej.

– Zaraz, czekajcie, ale jeżeli mnie porwali i odnaleźli, to teraz co? Porwaną i odnalezioną ofiarę na ogół odstawiają z powrotem do domu, a co ze mną? – Nie omieszkałam popatrzeć na obu gliniarzy wzrokiem wyjątkowo

złośliwego bazyliuszka. – Jestem w domu. Czy zamierzają panowie gdzieś mnie odstawić? Niby gdzie?

Wyglądało na to, że równie kłopotliwego pytania nie usłyszeli jeszcze nigdy w życiu. Na ich miejscu odpowiedź znalazłabym natychmiast, do szpitala dla umysłowo chorych, ale im to najwidoczniej nie przyszło do głowy.

Zaciekawili się wszyscy. Coś tu nie grało potężnie, jakiś imponujący idiotyzm nastąpił i zaczynało być śmiesznie nie do zniesienia. Na dobrą sprawę, stwierdziwszy osobliwą pomyłkę, panowie śledczy powinni doznać ulgi, przeprosić i czym prędzej iść do diabła, zręcznie unikając udzielania wyjaśnień, tymczasem nie, mało im było, chcieli czegoś więcej. Ciekawe czego?

Na nowo zaintrygowało mnie to całe przedstawienie i postanowiłam wrócić do normalności. Może nie w pełni, ale chociaż trochę. Paweł znalazł korkociąg i przystąpił do pracy.

– Moment, panowie, chwileczkę, pogadajmy poważnie. Mój siostrzeniec ma rację, jakieś wariactwo się przytrafiło, siedzę w domu, nikt mnie nie porywał, pół miliona odpada w przedbiegach, pomyłka ewidentna, więc czy ta wasza brygada antyterrorystyczna jest ciągle potrzebna? Niech ci panowie przestaną celować z pepe-szy czy co to tam jest, kałachy, erkaemy, nie znam się na wynalazkach strzelniczych, ale niech przestaną celować w moje wazon-y, bo i tak mam ich za mało. Chcę herbaty, możliwe, że i wina, wszyscy się czegoś napiją, a oni co? Tak będą stali i patrzyli nam w zęby? Czy robimy ogólną libację?

– A w ogóle, tak między nami mówiąc, do kieliszków się nie dostanę – zauważył z delikatnym wyrzutem Paweł.